JAK BYĆ KOCHANĄ?

Rozmowa z BARBARĄ KRAFFTÓWNĄ

DANUTA NOWICKA
dnowicka@nto.pl - 77 44 32 584

- Po latach intensywnej obecności na scenie, w filmie, w kabarecie przestała się pani pojawiać. Mówiło się, że Krafftówna wyjechała do Ameryki, ale czy na pewno, w jakim celu, tego już nie było wiadomo.

- Otóż pewnego dnia odebrałam telefon z amerykańskiej Polonii, żebym w Los Angeles zagrała „Matkę" Witkacego. Początkowo potraktowałam to jako kiepski żart, ale kiedy okazało się, że nic z tych rzeczy, nie znalazłam powodu, żeby z propozycji nie skorzystać. Tym bardziej że przez krytykę zostałam oceniona jako modelowa aktorka Witkacego i Gombrowicza.

- Nieznajomość angielskiego panią nie zniechęciła?

- Do głowy mi nie przyszło, że miałabym grać w tym języku. Dopiero kiedy to do mnie dotarło, zaczęłam dopytywać, czy aby oferta nie miała być do kogo innego skierowana.

- Jak zareagował rozmówca?

- „Nauczy się pani" – powiedział. „A ile mam na to czasu?". „To zależy od pani". Zabrałam się do przeliczania, za podstawę przyjmując czas wypowiedzenia dwóch długich zdań. Wyszło, że przy bardzo intensywnej pracy potrzeba mi pół roku. Ta nauka stała się dla mnie gigantyczną zdobyczą zawodową. Uczyłam się tekstu fonetycznie, tak jak śpiewacy. Z tą tylko różnicą, że jeśli śpiewak zapomni obcego słowa, obudowanego melodią, może je uzupełnić beztroskim „la-la-la", natomiast w tekście mówionym to raczej niemożliwe. I tak próbowałam przebić się przez tekst sztuki. Można powiedzieć, że pod angielski podkopałam się Witkacym. Niestety, po zejściu ze sceny języka nie rozumiałam. To nastąpiło później.

- Jesteśmy już w San Francisco, na widowni Międzynarodowego Instytutu Integracyjnego dla Emigrantów. Zajrzyjmy do pierwszego rzędu...

- No cóż, zaplątawszy się w kable na estradzie, wpadłam w ramiona jego dyrektora, mojego przyszłego męża. Jak pani wie, ze mną wiąże się tytuł filmu „Jak być kochaną", a ja, ze względu na niski wzrost, mam problem z tym, jak być widzianą. W tym przypadku miały go rozwiązać położone na podłodze regały.

- Padła pani nie tylko w ramiona Arnolda Seidnera, ale i Ameryki. Kto mógł wtedy przypuszczać, że pobyt za oceanem potrwa kilkanaście lat...

- Ze mną włącznie. Wielu sytuacji nie przewidziałam. Naprawdę powinniśmy się cieszyć, że dane jest nam żyć w nieświadomości.

- Podobno ma pani skłonność do szybkiego podejmowania decyzji. To był jeden z tych przypadków?

- W sprawach osobistych zdecydowanie zdaję się na instynkt. To, co określa się jako miłość od pierwszego wejrzenia, właśnie się dokonało, gdy spojrzałam w niebieskie oczy Seidnera.

- Instynkt nie ostrzegł, że sielanka potrwa krótko? Pół roku po ślubie mąż zmarł na zawał serca...

- Dlatego mówiłam o dobrodziejstwie nieświadomości.

- W Ameryce przeżyła pani wiele satysfakcji: były występy w teatrze polonijnym w San Francisco i na scenie Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. W San Francisco odbyło się uroczyste przekazanie dyplomu w związku z przyznaniem przed 20 laty nagrody za kreację w „Jak być kochaną". Nawiasem mówiąc, film Wojciecha Hasa zdobył wtedy trzy z czterech festiwalowych nagród.

- Kiedy statuetka Golden Gate o kształcie cegiełki z drewna i pleksi, z zatopioną taśmą filmową kilka miesięcy po festiwalu nadeszła zza oceanu - o wyjeździe do San Francisco nie było wtedy mowy - dyrektor wytwórni filmowej umieścił ją w gablocie. Upomniałam się: „Jak moja, to moja. Postoi w moim mieszkaniu". „Przedtem odbędzie się oficjalne wręczenie" - zaoponował dyrektor. „Nie szkodzi, przyniosę". I rzeczywiście przyniosłam, tak jak wcześniej wyniosłam, w gazecie. Kiedy po dwu dekadach po tym zdarzeniu w San Francisco dowiedziano się, że przyjechała ta, której na festiwalu nie było, zwołano konferencję prasową i zorganizowano specjalną uroczystość. Z tej okazji, jako reprezentantka polskiej braci aktorskiej, wypożyczyłam gronostajową pelerynę.

- Można było przypuszczać, że po śmierci męża wróci pani do kraju...

- Nigdy nie twierdziłam, że nie wrócę, ale na razie zmieni-

REKLAMA

łam tylko miasto. Z San Francisco przeniosłam się do Los Angeles.

- Nie peszył panią tamtejszy adres: dom seniora?

- Przenosząc tę nazwę na polską rzeczywistość, popełniamy błąd. Nie ma ona nic wspólnego z naszymi domami. Ponieważ spełniałam określone warunki – miałam ukończone 60 lat i pewien status finansowy – mogłam zamieszkać w nowiusieńkim mieszkaniu w nowej kamienicy. W tym samym czasie w Rosji nastąpiła pierestrojka, potężna fala emigrantów ukraińskich i rosyjskich nagle ją zaludniła i tylko tablica na frontonie przypominała, komu miała służyć. Basen z jacuzzi, którego nie zdołano wcześniej otworzyć, został pokryty deskami i sztuczną trawą, ku radości rodziców; nie musieli martwić się, że pociechy się potopią. Rozpoczęły się balangi i szaleństwa. Pięć minut moim drobnym kroczkiem dzieliło nas od potężnego kampusu uniwersyteckiego, więc zaroiło się od młodzieży, która się do nas przytulała, wynajmując pokoiki. Wokół powstało pełno sklepów, sklepików, obok działał i dalej działa potężny instytut Braille'a. Barwność i zmienność egzystencji okazała się nie do opisania. Do czego innego się wprowadziłam, w czym innym mieszkałam.

- Po dziesięciu latach zmaterializowała się tęsknota za krajem...

- I przez następne dziesięć lat podróżowałam wte i wewte. Na zimę odlatywałam do ciepłych krajów, ciepłe miesiące spędzałam w Polsce. Należę do osób, które bardzo szybko zapuszczają korzenie i wszędzie dobrze się czuję.

- Odnosi się wrażenie, że lubi pani ludzi, a ludzie za panią przepadają. Stąd pytanie: jak być kochaną?

- Trzeba nieustannie na to pracować, tak mnie wychowywano. Matka zawsze ostrzegała, by nie wynosić z domu kłopotów i humorów, bo inni mają własne. Nie demonstrować nadętej miny. Właśnie wedle takiego schematu żyją Amerykanie. Na pytanie „co słychać?" nikt nie odpowiada wyliczanką, co mu odpadło, co dopadło, co boli, ile przeszedł operacji i codziennie zażywa lekarstw, a w ogóle że wszystko beznadziejne.

- Przestała pani jeździć?

- Nie byłam w Stanach dwa lata, ale wyjazd planuję, i to jak najszybciej. Już czasu na odkładanie nie ma, na długofalowe planowanie także.

- Zamierza pani odpocząć od sceny?

- Nie ma takiej możliwości. Jeszcze nie chcę się kłaść do urny. Gdybym np. była chirurgiem, rżnęłabym, cięła i piłowała. A skoro jestem, kim jestem, i to kocham, brnę dalej w aktorstwo. I nigdy się nie nudzę.

- Los zsyłał pani ludzi, którzy nudę uniemożliwiali. Począwszy od Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego.

- To rzeczywiście był nadzwyczajny prezent dla nas wszystkich. Już podczas czytania tekstu ze śmiechu spadaliśmy z krzeseł. Nim jeszcze Wasowski dokończył grać melodię, śpiewaliśmy, bo muzyka, słowa wchodziły w nas same. „Znacie to?" – pytał. „No nie...". Był taki moment, że z Michnikowskim, dzikim człowiekiem z puszczy, tańczyliśmy tango „Pani mnie oswoi, madame". On cały w skórach, ja z ogromnym biustem ze styropianu. Mając swój wystarczająco pokaźny, spytałam, czy mogę styropian wykorzystać w charakterze pośladków, czyli krynoliny. Tak też się stało. Na tym m.in. polegało budowanie roli, bo kostium to istotny element tego budowania. Proponuje, ogranicza, dyktuje gest ręki, ruch nogi. Inny przykład budowania roli: Gołas śpiewał „Kapturka 62" dla obu panów. W refrenach wykonywał różne zabawne kroki taneczne: podskoki, wyskoki, przykuce. I nagle podczas nagrania tak go inwencja poniosła, że siedzącemu na fotelu Przyborze wskoczył na kolana i, jak dziecko, beztrosko odśpiewał strofkę. Okazało się to cudownym żartem, tym bardziej, że Przybora doskonale zareagował, nie reagując. Irena Kwiatkowska przychodziła z opracowanymi detalami, finezjami niezwykłymi i sprawdzała, czy mieszczą się w konwencji, w relacji z innymi postaciami. Praca była wielką radością i przyjemnością.

PAWEŁ STAUFFER

> BYŁ TAKI MOMENT, ŻE Z MICHNIKOWSKIM, DZIKIM CZŁOWIEKIEM Z PUSZCZY, TAŃCZYLIŚMY TANGO „PANI MNIE OSWOI, MADAME". ON CAŁY W SKÓRACH, JA Z OGROMNYM BIUSTEM ZE STYROPIANU. MAJĄC SWÓJ WYSTARCZAJĄCO POKAŹNY, SPYTAŁAM, CZY MOGĘ STYROPIAN WYKORZYSTAĆ W CHARAKTERZE POŚLADKÓW, CZYLI KRYNOLINY. TAK TEŻ SIĘ STAŁO. NA TYM M.IN. POLEGAŁO BUDOWANIE ROLI, BO KOSTIUM TO ISTOTNY ELEMENT TEGO BUDOWANIA

- Jak pani ocenia naśladowców Starszych Panów?

- Telewizji nie oglądam, a jeśli już się zdarzy, to wówczas, kiedy np. otwiera się olimpiadę w Chinach.

- Realizowała się pani w tylu dziedzinach, że gdybyśmy chciały rozmawiać o wszystkich, rozmowa potrwałaby wiele godzin. Spytam więc tylko: które pozostawiły najgłębszy ślad psychiczny?

- Staram się, by takich śladów nie było, bo zdarzały się niebezpieczne przypadki. Słynny Romulus Wielki, fenomenalnie zagrany przez Jana Świderskiego, rola, która wymusiła na nim pewien typ seplenienia, dawała o sobie znać przy innych okazjach. Ni stąd, ni zowąd podczas kolejnego przedstawienia to seplenienie nagle się odzywało...

- Spytam banalnie: którą z własnych ról uważa pani za szczególnie ważną?

- Po latach okazało się, że właśnie Kabaret Starszych Panów przetrwał próbę czasu. Z filmów, rzecz jasna, „Jak być kochaną" i „Rękopis znaleziony w Saragossie". Jakże wspaniała to była wizja! Co do teatru... Banalnie odpowiem, że w pamięć zapadło mi wszystko, nawet najbardziej banalne role. Proszę nie zapominać, że pracowałam z genialnymi reżyserami.

- Do aktorstwa przysposabiała się pani już w dzieciństwie, pląsając na parapecie wielkiego, weneckiego okna.

- Założyłam się z przyjaciółką, ilu przechodniów zdołam w ten sposób zatrzymać na ulicy. Zamiast bawić się lalkami, urządzałam scenografie, wymyślałam inscenizacje, a nawet sztuczny deszcz z dachu przez rynnę. Dla zmyłki. Żeby goście rodziców uznali, że brzydka pogoda i nie warto iść na spacer.

- Potem było podziemne studio Iwo Galla.

- Siostra, która właściwie miała już dyplom aktorski w kieszeni, mnie tam zabrała, żeby nie zostawiać samego dziecka w domu. Z grzeczności kazano mi nauczyć się wierszyka, więc się nauczyłam, drugiego, trudniejszego, także. A po trzecim zdecydowano, że mogę zostać wolnym słuchaczem. Po wojnie wszyscy uczniowie mistrza Galla odnaleźli się w Krakowie. Pierwsze role zagrałam w Gdyni, w Teatrze Wybrzeże, potem były Łódź, Wrocław i Warszawa. Wielu moich kolegów od Galla i z innych teatrów nie ma już między nami. Zostałam sama na placu boju. Ostatnio dostałam zaproszenie od Pawła Miśkiewicza, dyrektora Teatru Dramatycznego w Pałacu Kultury, na uroczystość mojego jubileuszu 65-lecia pracy. Zaproszenie i propozycję, rozbudowaną do pomysłu „Tydzień z Krafftówną". Gram w tym teatrze w dwu sztukach: w „Per Gynt" matkę i w „Alicji" rolę tytułową. A spektakl muzyczny „Dziękuję za pamięć", podczas którego przy fortepianie zasiądą Janusz Sent i Michał Salamon, przygotowałam na jubileusz. To mój dorobek kabaretowo-estradowy. Propozycja dyrektora Miśkiewicza jest dla mnie tym cenniejsza, że Teatr Dramatyczny otwierałam i grałam w nim wiele lat.

- Jak dotrwać do takiej rocznicy w dobrej kondycji?

- Nie mam pojęcia, kiedy to się stało! A że się dokonało, orientuję się, kiedy nie mogę otworzyć butelki z wodą mineralną. Widać ćwiczenia fizyczne i samodyscyplina to za mało. Intensywnie gimnastykuję się. Pięć lat uczyłam się jogi i z niej nie zrezygnowałam, z tym że stanie na głowie jakiś czas temu trzeba było wyeliminować. Każdego dnia zajmuje mi od 40 do 50 minut. Do tego dochodzą ćwiczenia głosu.

- Na jednym ze zdjęć sprzed 40 lat przed panią szklanka kawy...

- Teraz kawę i herbatę zastępuje woda, ewentualnie czekolada z miętą. Tak zdecydował mój organizm... Przed 55 laty z jadłospisu wykreśliłam sól, a potem cukier.

- Życie z takimi ograniczeniami smakuje?

- Mam nadzieję, że spotkamy się z okazji trzech kaktusów. Wie pani co to znaczy? Trzy jedynki...

- Najbliższa perspektywa to Wielkanoc.

- Po raz n-ty wyjadę w Polskę. I w naszą cudowną tradycję.

- Jakie były wcześniejsze Wielkanoce?

- Najpiękniejsze – w dzieciństwie. Widzę tamte święta, jak gdyby to było rok temu. Jedna wielka tradycja. Ojciec był głównym architektem w Łucku, więc rodzice z tej okazji nie szczędzili pieniędzy. Wcześniej zarządzali wielkie malowanie i w mieszkaniu pachniało, jak to po remoncie. Obowiązywała inna scenografia - stół w jadalni, przesunięty ze środka pod ścianę, przypominał ołtarz. Na nim mięsa tygodniami peklowane - towarzyszyło temu częste bieganie z domu do drewutni, gdzie były przechowywane - na półmisku pieczony prosiak, oczywiście w całości, kopy jaj do jedzenia i grania, pisanki, i jeszcze baby i mazurki, te drugie pieczone z miesięcznym wyprzedzeniem przez matkę i gosposię. Nie wspominając o moich drobnych usługach, nagradzanych skrawkami i ścinkami. Jakie tajemnice kucharskie się za tym kryły, trudno dzisiaj pojąć... Wielkie święto, wielka odnowa, wielka wiosna. Myślę, że taki obraz ocalał już tylko we wspomnieniach i w literaturze. I takich tradycyjnych świąt, smacznego jajka i humoru, który „jest dobry na wszystko: na stopę za niską..." życzę czytelnikom. ■